

JOE ALEX

JESTEŚ TYLKO
DIABŁEM



BUKOWY LAS

MERLIN

Wstrzymaj się, czarny niewolniku nocy!

DIABEŁ

Zmiażdżę cię, nędzny! Śmierć tu znajdziesz swoją...

MERLIN

Za mało sił masz, jesteś tylko Diabłem.
Odrzuć kształt ludzki i oddal się, pełznąć
Na brzuchu twoim cętkowanym, wężu!
Siła mych zaklęć rządzi nawet piekłem.
Ty pierwszy poznasz moc ich...

(Grzmot i błyskawica nad skałami. Tenibrarum princeps, deviatiarum & infirorum Deus, hunc Incubum in ignis eterni abisum accipite, aut in hoc carcere tenebroso in sempeternum astringere mando. Skała pochłania go).

Narodziny Merlina – akt V, scena 1

Sztuka napisana i grana prawdopodobnie w roku 1612. Pierwsze wydanie in quarto opatrzone nagłówkiem: „Napisana przez Williama Shakespear’a i Williama Rowleya”.

ROZDZIAŁ 1

Diabeł po raz pierwszy

Kątem oka Joe Alex dostrzegł stojącego w drzwiach nieruchomego Higginsa, który chrząknął cicho. W tej samej chwili doktor Yamamoto uniósł nóż i skoczył lekko ku przodowi.

Joe wykonał błyskawiczny unik i równocześnie spróbował chwycić uzbrojoną rękę. Dotknął nawet palcami jej przegubu, ale nie zdążył. Dłoń wykonała mały, prawie niedostrzegalny ruch i nóż uderzył w pierś na wysokości serca. Rozległ się cichy, suchy trzask.

– To jest absolutnie beznadziejne! – Joe usiadł na twardym włosianym materacu, obitym ciemną skórą i zajmującym całą powierzchnię pokoju zupełnie pozbawionego mebli. Oddychał ciężko. – Nigdy tego nie zrozumie! – Nagim przedramieniem otarł pot z czoła. – Odbiera mi pan całą radość życia, doktorze. Nauczył mnie pan wszystkich sposobów obrony, żeby w końcu pokazać mi, że można mnie zawsze trafić jak dziecko...

– Kiedy uczeń prześcignie nauczyciela, nauczyciel powinien wrócić do szkoły. – Japończyk rozłożył ręce, jak gdyby pragnął przeprosić gospodarza za to, że nie może dać się pokonać. – Ale rozumiem pana doskonale. To są oczywiście problemy naszej ambicji. Chociaż celem człowieka jest doskonałość, osiągamy ją zwykle na bardzo wąskim odcinku, jeżeli osiągamy ją w ogóle. Ja, na przykład, nie umiałbym przecież napisać ani jednego rozdziału którejkolwiek z pańskich, tak licznych i tak zajmujących, powieści... – Skłonił się lekko przy ostatnich słowach. I chociaż ubrany był tylko w obcisłe jedwabne spodniki, ukłon był tak formalny, jak gdyby sztywny gors koszuli frakowej przeszkodził mu w płynnym wykonaniu tego ruchu. – Robi pan wielkie postępy – dodał po krótkim namyśle. – Z całą skromnością, bo przecież jestem pańskim instruktorem, mogę powiedzieć, że potrafi pan unikać nawet niespodziewanego uderzenia nożem i obezwładnić każdego człowieka, który spróbuje strzelić do pana z bliska. Myślę oczywiście o zwykłych ludziach, jeżeli wolno nazywać zwykłymi ludźmi tych, którzy używają noża i pistoletu. Istnieje na świecie duża grupa specjalistów (a do nich zaliczam i moją skromną osobę), którzy zawsze pana wyprzedzą. Ale, o ile wiem, żaden z tych ludzi nie zajmuje się atakowaniem niewinnych przechodniów... – Palcami lewej ręki wyciągnął obite miękką irchą ostrze ćwiczebnego noża, które po uderzeniu wsunęło się w wydrążony trzonek, składając się jak luneta. – Czy spróbujemy raz jeszcze?

Stojący w drzwiach Higgins poruszył się prawie niedostrzegalnie i chrząknął po raz drugi. Joe spojrzał w jego kierunku.

– Co takiego, Higgins?

– Przed chwilą przyjąłem telefon do pana, proszę pana.

Joe uniósł brwi.

– Jak to? Przecież mówiłem, że nie ma mnie dla nikogo?

– Tak jest, proszę pana... – Higgins zawahał się na mgnienie oka. – Oczywiście nie powiedziałem, że pan jest w domu. Ale pozwoliłem sobie pomyśleć, że może lepiej będzie zawiadomić pana, kto dzwoni. Przy aparacie czeka sir Alexander Gilburne. Powiedział, że nie zna pana osobiście, a ponieważ dodał, że ma bardzo ważną osobistą sprawę, pomyślałem, że być może sam pan zechce zdecydować, czy jest pan w domu, czy pana nie ma. – Znowu chrząknął i zamilkł.

– Gilburne? – zapytał Alex. – Chyba nie ten prawnik? Ale zdaje mi się, że to on ma właśnie na imię Alexander?

– Tak, proszę pana. Ten wielki obrońca. Właśnie dlatego, że jest to osoba tak poważna, pozwoliłem sobie... Czy mam odpowiedzieć, że pana nie ma?

Joe spojrzał na Higginsa z cichą satysfakcją, którą odczuwał co dnia od chwili, gdy szczupły, cichy, siwiejący służący rozpoczął rządy w jego domu. Higgins był absolutnie bezbłędny, tak bezbłędny, że wywoływał poczucie niższości. Poza tym posiadał zdumiewająco wielkie wykształcenie. Joe potrząsnął głową.

– Nie. Myślę, że chyba powinienem z nim porozmawiać. – Spojrzał w kierunku Yamamoto. – Muszę pana przeprosić na chwileczkę, doktorze. O ile wiem, pan Gilburne nie należy do ludzi, którzy niepokoją innych dla błahostek. – Podeszedł do ściany i zdjął z wieszaka szlafrok, który narzucił na ramiona. – Ciekawe, czego ten człowiek może chcieć ode mnie? – Pytanie to, na które ze zrozumiałych względów nie odpowiedział żaden z obu obecnych w pokoju mężczyzn, zgasło bez echa między grubymi ochronnymi matami, przytwierdzonymi do ścian. Alex zatrzymał się w drzwiach. – Może szklankę soku, doktorze? Na pewno zdąży pan wypić, zanim wrócę.

Doktor poważnie skinął głową. Higgins uniósł oczku gorze i skłonił się lekko.

– Z lodem czy bez lodu, proszę pana? – Twarz jego nie zmieniła wyrazu, ale Joe, przestępując próg, uśmiechnął się lekko. Widać było, że ani tytuł doktorski, ani nienaganne maniere Japończyka nie są w stanie przekonać Higginsa o pozycji towarzyskiej tego gościa.

– Bez lodu, jeśli łaska – powiedział Yamamoto, stając równocześnie na rękach. Powoli, bez najmniejszego wysiłku zaczął obchodzić w ten sposób pokój. Higgins cicho zamknął drzwi za sobą.

Tymczasem Joe podeszedł do telefonu stojącego na wieku starej skrzyni w hallu.

– Słucham? Alex przy aparacie.

– Nazywam się Gilburne – zabrzmiał po drugiej stronie przewodu niski, pięknie modulowany głos. Potem nastąpiła krótka, ledwie uchwytna pauza, jak gdyby

mówiący spodziewał się, że po wymienieniu swojego nazwiska usłyszy coś, co potwierdzi, że jest ono znane Alexowi. Lecz Alex milczał, a pauza była tak krótka, że nie miało to prawie żadnego znaczenia. – Muszę pana przede wszystkim przeprosić za to, że niepokoję o tak wczesnej porze bez listownego uprzedzenia. Ale wypadki, które... – Znowu nastąpiła pauza. – Czy nie przeszkadzam panu w tej chwili?

– Absolutnie nie. Nie jestem zajęty teraz. Czym mogę panu służyć?

– Otóż, gdyby nie sprawiało to panu zbytniego kłopotu i gdyby pan uwierzył, że moje natręctwo jest podyktowane naprawdę ważnym powodem, chciałbym pana prosić o pół godziny rozmowy w pewnej bardzo dla mnie ważnej sprawie. Naturalnie, powtarzam, jeśli...

– Rozumiem – powiedział Joe, chociaż na razie rozumiał tylko, że będzie musiał spędzić część tego upalnego dnia inaczej, niż to sobie zaplanował. – Czy zechciałby pan wpaść do mnie za godzinę, jeżeli to panu odpowiada?

– Nawet bardzo. Im prędzej, tym... – Znowu urwał. – Jeżeli nie będzie pan miał nic przeciwko temu, przyprowadzę jeszcze jednego człowieka, tak jak i ja zainteresowanego przedmiotem mojej rozmowy z panem.

Joe raz jeszcze odpowiedział, że nie ma nic przeciwko temu, sir Alexander raz jeszcze przeprosił za natręctwo i odwiesił słuchawkę.

Przez chwilę Alex stał nieruchomo, spoglądając na niemy aparat telefoniczny. Pomimo gładkiej wymiany

konwencjonalnych zdań wyczuł w głosie Gilburne'a nutkę starannie maskowanego napięcia.

Gilburne był od wielu lat jedną z najjaśniejszych gwiazd londyńskiej palestry. Uchodził za najwybitniejszego obrońcę w sprawach kryminalnych i do dnia, w którym zniesiono karę śmierci w Zjednoczonym Królestwie, uratował od stryczka tak wielu ludzi, którym wydawało się, że czują już dotyk sznura na szyi, że świat przestępczy nadał mu przydomek „Pogotowie Ratunkowe”. Mimo to wszyscy wiedzieli, że Gilburne nie przyjmował obrony zbrodniarzy, którzy w jego przekonaniu zasługiwali na najwyższy wymiar kary. Chociaż pozornie stali na przeciwnych biegunach, gdyż jeden z nich tropił, a drugi bronił przestępców, Joe chciał od dawna poznać tego niecodziennego człowieka, o którego inteligencji i darze logicznego wnioskowania słyszał wiele. Ale los nigdy dotąd nie skrzyżował ich ścieżek. Czego mógł chcieć w tej chwili? Najprostszym rozwiązaniem, które się nasuwało, mogła być prośba o pomoc w jednej ze spraw prowadzonych przez Gilburne'a. Może okoliczności były zbyt powikłane, a sir Alexander, mając przekonanie o niewinności swego klienta, chciał go ratować za wszelką cenę i nie mógł sam sobie dać rady? Ale w głosie, który Alex słyszał przed chwilą, było napięcie spowodowane chyba jakimś osobistym przeżyciem.

– Och, dowiemy się przecież wszystkiego za godzinę! – mruknął Joe i uśmiechnął się do siebie.

Powrócił do pokoju gimnastycznego zamyślony, a w głębi duszy nawet trochę zły. Lubił uważać się za

człowieka, którego niczym nie można naprawdę zaintrygować. Lecz ten telefon niósł zapowiedź ciekawego spotkania. Taki człowiek jak Gilburne nie przyjdzie opowiedzieć o jakimś nic nieznaczącym drobiazgu. Sprawa na pewno była poważna. Ale właśnie w tym czasie Joe Alex marzył, żeby nic poważnego nie pojawiło się na jego drodze. Miał do załatwienia zbyt wiele osobistych spraw, zupełnie niezwiązanych ze światem zbrodni.

Doktor Yamamoto siedział na macie i podwinawszy wschodnim zwyczajem nogi, popijał małymi łykami sok owocowy.

– Mam nadzieję, że nie będzie mi pan miał za złe, doktorze, jeżeli zakończymy na tym nasze dzisiejsze ćwiczenia? Spodziewam się ważnych odwiedzin. Zresztą nasze dwie godziny już chyba minęły, prawda?

Yamamoto wstał, odstawił szklanekę na parapet okna i spojrzął na leżący tam staromodny kieszonkowy zegarek.

– Brakuje jeszcze dwunastu minut – powiedział – ale odrobimy to w czasie następnej lekcji. Wspomniał pan, zdaje się, wczoraj, że chce pan zrobić tydzień przerwy, prawda?

– Tak. – Joe skinął głową. – Mam zobowiązania wobec mojego wydawcy i będę musiał spędzić kilka najbliższych dni przy biurku. A później chciałbym wyjechać za granicę na następnych kilka dni, jeżeli okoliczności będą mi sprzyjały.

– To dobrze. – Japończyk skinął głową. – Ja też myślę, że powinniśmy zrobić teraz trochę dłuższą przerwę.

Boję się u pana tego, co sportowcy nazywają przetrenowaniem. Proponuję, żebyśmy naznaczyli sobie następne spotkanie nie za tydzień, ale za dwa tygodnie.

Rozmawiając o dalszych stopniach wtajemniczenia w arkana sztuki samoobrony, ruszyli w stronę łazienki, która zaopatrzona była w dwie przegrody prysznicowe. Alex odkręcił kran i weszli pod mocne strumienie na przemian zimnej i gorącej wody.

– Tak! – zawołał Yamamoto, przekrzykując szum prysznicy. – Już nawet teraz nie musi się pan nikogo obawiać! Ale czy w rzeczywistości musiał się pan kogośkolwiek obawiać? Przecież bohaterowie kryminalnych powieści nie wstają z kart książek i nie rzucają się na autora!

– Na pewno – mruknął Joe, trąc ramiona szorstką włochatą rękawicą. – Ale bywa i tak, że najpierw spotykam moich bohaterów w życiu, a potem dopiero wsuwam ich bezpiecznie między okładki.

Japończyk wyszedł spod prysznicy i otrząsając się, sięgnął po prześcieradło kąpielowe.

– Mówiono mi o tym, ale nie wiem, ile jest prawdy w tym, co o panu opowiadają. Prowadząc moją skromną szkołę, mam kontakt z policją i rozmaitymi zdumiewającymi ludźmi. Wiele mówi się o panu w niektórych kołach.

– Im więcej, tym lepiej! – Joe roześmiał się, zakręcił wodę i zaczął się wycierać szorstkim, bładozielonym ręcznikiem, mile łaskoczącym skórę. – To bardzo przyjemne, kiedy o nas mówią. Wszyscy jesteśmy próżni na swój sposób, prawda? Nawet wtedy, kiedy szalenie nie lubimy

naszej pracy. Ja, na przykład, nie napisałbym w życiu ani jednej strony powieści kryminalnej, gdybym miał inne źródło dochodu.

– Byłaby to wielka strata dla miłośników tego rodzaju lektury – Japończyk skłonił lekko swoją krótko ostrzyżoną czuprynę – ale nie myślałem o pańskich powieściach. Myślałem o pana wyjątkowym talencie, który oddał pan na usługi policji. Zdaje się, że należy pan do ludzi tego rodzaju, który najbardziej szanujemy u nas na Wschodzie: do tych, którzy interesują się poszukiwaniem prawdy bez względu na to, w jakim zawodzie los pozwolił im pracować. Kto szuka prawdy, płynie po świętej rzece. Proszę mi wybaczyć tę odrobinę kalendarzowej mądrości. Mówią, że jest pan w stanie rozwiązać każdą zagadkę kryminalną.

Joe znowu się roześmiał.

– Oczywiście, że mogę! – powiedział z rozbrajającą szczerością. – Jak dotąd, rozwiązałem wszystkie. Może dlatego, że prawdziwi zbrodniarze są o wiele bardziej prymitywni niż ci, których można wymyślić. W fantazji autora powieści kryminalnych istnieje teoretycznie nieskończona ilość kombinacji i zbiegów okoliczności utrudniających rozwiązanie. Tymczasem życie natychmiast zawęży ramy zbrodni i spłyca zagadnienie, a błędy zabójcy stają się jego biletem wizytowym. Wystarczy wtedy wyeliminować kilka ewentualnych możliwości i zbrodniarz ukazuje się w pełnym blasku, jak manekin wieczorem na witrynie sklepowej. – Znowu się roześmiał. – Teraz prawdopodobnie doszedł pan do wniosku, że być może płynę po świętej rzece, ale wiatr

próżności wzdyma moje żagle. Niestety nic na to nie mogę poradzić, że tak się układają dotąd moje stosunki ze światem zbrodni. Jestem przekonany, że nie ma mordercy, którego nie można odkryć.

Rozłożył ręce w przeproszającym geście, a potem wziął grzebień i zaczął przeczesywać mokre włosy.

– A przecież... – powiedział doktor Yamamoto – istnieje możliwość... – Zastanowił się. – Zapomniałem, jak brzmi to określenie... W mojej ojczyźnie nie jest ono znane. Myślę o zbrodni... o zbrodni...

– Absolutnej?

– Właśnie! O zbrodni absolutnej. O ile wiem, jest to taka zbrodnia, której autor nie pozostawił żadnego punktu zaczepienia dla śledztwa, prawda?

– Tak. Ale taka zbrodnia jest niemożliwa. Musiałaby być popełniona przez człowieka posiadającego absolutne alibi i motyw zabójstwa, którego nie mógłby się domyślić ani odgadnąć nikt. A co najważniejsze, policja nie mogłaby ustalić, jak została popełniona. W przeciwnym wypadku pozostałby ślad, bo sposób popełnienia morderstwa jest sam w sobie bardzo interesującym śladem, który od razu eliminuje wielką liczbę osób i obciąża niektóre. Zbrodnia absolutna byłaby z konieczności zbrodnią, która eliminuje wszystkich możliwych zabójców, co już w założeniu jest absurdem. Nie może przecież zaistnieć sytuacja, w której mord został popełniony i nikt go nie mógł popełnić.

– Przyznam się, że niedokładnie zrozumiałem pana. Czy mógłby pan podać jakiś przykład podobnej sytuacji?

Alex zastanowił się chwilę.

– Podam panu najprostszy. Wyobraźmy sobie pokój, który posiada tylko jedno wejście, zamknięte od wewnątrz na klucz. Okna także są zamknięte, nigdzie nie ma najmniejszej szpary, tajemniczego przejścia. Tymczasem wewnątrz pokoju został zamordowany człowiek, powiedzmy, zastrzelony z bliska. Żeby uniknąć dodatkowych spekulacji wyobraźni, dodajmy, że kilka osób usłyszało strzał i natychmiast zaczęło dobijać się do drzwi. To byłaby właśnie zbrodnia absolutna: trup w zamkniętym pokoju, do którego nikt nie mógł wejść ani z którego nikt nie mógł wyjść. – Urwał i narzucił szlafrok na zaczerwienioną skórę. – Bo tylko taka zbrodnia, której okoliczności eliminują wszystkich możliwych zabójców, musi wyeliminować wraz z nimi i mordercę. Na szczęście taką zbrodnię mógłby popełnić tylko Diabeł. Oczywiście, ludzie miewają czasem zupełnie niesłychane pomysły, próbując zgładzić któregoś ze swych bliźnich. Ale z zupełnie zrozumiałych powodów nie mają one wiele wspólnego ze zbrodnią absolutną. Ludzie nie mogą działać poza prawami czasu i przestrzeni. Dlatego nie wierzę w zbrodnię absolutną, tak jak nie wierzę w Diabła, chociaż otaczam go pewnym szacunkiem. Literatura przekazała nam opowieści o paru diabłach, do których mam sentyment.

– Widzę, że wiele pan nad tym rozmyślał. – Doktor się uśmiechnął.

– Tak. Próbowałem kiedyś napisać książkę, w której mój detektyw poniósłby klęskę. Chciałem wymyślić taką zbrodnię, wobec której nawet najgenialniejszy

mózg śledczy byłby zupełnie bezradny. I nie mogłem. Chciałem dać rozwiązanie za pomocą listu samobójczego, napisanego przez zbrodniarza, który, powiedzmy sobie, był śmiertelnie chory na raka i przed śmiercią postanowił wysłać policji list wyjaśniający dokładnie, jak dokonał morderstwa. Niestety. Nic takiego nie da się wymyślić. Nikt nie napisał takiej książki i nikt jej nie napisze. Nie mówiąc już o życiu.

– Rozumiem. – Yamamoto pochylił głowę. – Problem ten przedstawia się mniej więcej tak jak kwadratura koła.

– Właśnie. Muszę się panu przyznać, że kosztowało mnie to kilkanaście bezsennych nocy. Książka taka byłaby czymś bez precedensu w historii powieści kryminalnych. Wreszcie doszedłem do wniosku, że bez pomocy nadprzyrodzonych sił takiej zbrodni popełnić się nie da. Więc pozostawiłem ją Diabłu i wyrzuciłem notatki.

Ale mylił się, bo w księdze jego życia już najbliższa karta zawierała spotkanie z Diabłem i ze zbrodnią absolutną.

Lecz o tym nie wiedział jeszcze nawet sam Diabeł.

Bo Diabeł nie wierzył w Joe Alexa zupełnie tak samo, jak Joe Alex nie wierzył w Diabła.

ROZDZIAŁ 2

Diabeł po raz drugi

Pomimo zaciekawienia wywołanego telefonem Gilburne'a Joe nie myślał, ubierając się, ani o nim, ani o mającej nastąpić wizycie, ale o swoich najbardziej osobistych sprawach, do których wkładał się ostatnio coraz większy chaos.

Upał za oknem rósł. W Grecji było na pewno jeszcze o wiele goręcej o tej porze roku. Ale tam powietrze było inne niż w Londynie – przejrzyste, pachnące wodorostami południowego, ciepłego morza i przesycone nieuchwytną, suchą wonią, jaką dają rozgrzane słońcem skały. W Grecji była Karolina i grzebała w ziemi gdzieś na Peloponezie, poszukując małych, pokrytych niezrozumiałymi znakami skoruppek glinianych.

Wczesne pismo linearne Kreteńczyków, nieodcyfrowane dotąd i niezrozumiałe, leżące jak nieprzenikniona bariera pomiędzy współczesnością a dziejami tego dawnego ludu, wydawało się największą namiętnością

w życiu tej ślicznej dziewczyny, która z kolei była największą namiętnością w życiu Joe Alexa.

Nie wiedział, czy Karolina go kocha. W Londynie byli zwykle nierozłączni, wszędzie widywano ich razem, wyjeżdżali razem i razem rozpinali swój czerwony jedwabny namiocik w Alpach, Norwegii, Portugalii i południowej Francji. Ale kiedy po jednym z powrotów do Londynu Joe zaczął mówić poważnie o małżeństwie, Karolina szybko i zdecydowanie zmieniła temat. Broniła swej niepodległości stanowczo, jak gdyby słowo „żona” wywoływało w niej lęk. Poza tym była chyba najlepszą z żon, chociaż mieszkała osobno i bywały okresy, kiedy nie widywał jej tygodniami. Działo się tak, gdy porywała ją praca. Zamykała się wtedy u siebie na klucz i wyłączała telefon, a jej stara gosposia, pani Downby, odpowiadała przez drzwi, że panienki nie ma w domu i nie wie, kiedy wróci. Bo Karolina Beacon, pomimo swoich dwudziestu pięciu lat, była już prawdziwym uczonym, z którego zdaniem zaczęli liczyć się siwi specjaliści.

Alex odczuwał zimną, ale tym prawdziwszą nienawiść do dawnych Kreteńczyków i ich dziwacznej korespondencji. Działo się tak dlatego, że on sam, chociaż był jednym z najbardziej znanych autorów kryminalnych i jednym z najwybitniejszych teoretyków kryminologii, przyjacielem i towarzyszem pracy asa Scotland Yardu, superintendenta Beniamina Parkera, wydawał się sam sobie groteskową postacią.

Przyczyna tego dziwnego stanu rzeczy była stosunkowo prosta: pisał powieści kryminalne, lecz ich nie

znosił. Pisał je, bo dawały duży dochód, a poza tym nie musiał robić niczego innego.

Będąc jeszcze nieomal chłopcem, wstąpił na początku wojny do lotnictwa, a potem, kiedy działania wojenne się skończyły, pozostał bezradny na londyńskim bruku z małą odprawą w kieszeni. Nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić, postanowił zaryzykować i napisać powieść kryminalną. Napisał ją i zaniósł do wydawcy. Od tego dnia jego życie stało się nieustającym pasmem sukcesów w tej dziedzinie. Dało mu to w rezultacie po paru latach spory majątek. Resztę spowodował zbieg okoliczności. Beniamin Parker, który w czasie wojny był członkiem załogi bombowca pilotowanego przez Alexa, odkrył przypadkowo jego olbrzymi talent śledczy, gdy obaj zostali kiedyś skonfrontowani z niesamowitymi okolicznościami towarzyszącymi śmierci ich wspólnego przyjaciela Iana Drummonda. Od tej pory Joe brał udział w wielu dochodzeniach Scotland Yardu i uzyskał prawdziwą sławę, rozwiązując, wyłącznie za pomocą stosowania prostej logiki, kilka problemów, wobec których policja wraz z całym swoim aparatem najnowocześniejszych badań, archiwów i narzędzi stała bezradna.

Alex uważał elektronikę, daktyloskopię, analizy chemiczne i wszystkie inne współczesne metody badawcze jedynie za drugorzędny czynnik przy prowadzeniu śledztwa. Był przekonany, że mord rodzi się w duszy ludzkiej i tylko tam należy nieuchronnie szukać rozwiązania. A jedynym laboratorium, mogącym nieść pomoc przy tym poszukiwaniu, był jego własny mózg. Zwykle mózg ten pozostawał sam na placu, gdy aparaty,

odczynniki i badania śladów nie mogły zaskoczyć przebiegłego mordercy.

Lecz chociaż prasa całego kraju, z sędziwym „Time-sem” włącznie, poświęcała mu w ostatnich latach tak wiele miejsca, a jego sława stawiała się powoli uniwersalna, bo interesowali się nim wszyscy, od ministrów po duchownych i od dzieci szkolnych po samotne staruszki, i zaczynał z wolna obrastać legendą, w której prawda pomieszana była z najfantastyczniejszymi pomysłami, to jednak panna Karolina Beacon pozostała zdumiewająco obojętna wobec tej sprawy. Zнали się już od trzech lat i Joe musiał przed sobą przyznać, że co najmniej od dwóch myśli o niej codziennie.

Często zastanawiał się z niepokojem, czy jej obojętność wobec jego osiągnięć nie była główną przyczyną jego przywiązania i niepokoju. Co prawda przeczytała nawet kilka jego książek, ale jej spokojne pochwały wywołały w nim jedynie uczucie wstydu. Zawsze dawała mu w nieuchwytny sposób do zrozumienia, że nie uważa tego wszystkiego za podstawowe zajęcie kulturalnego człowieka, który już dawno pożegnał trzydziesty rok życia. Traktowała jego książki i współpracę z Parkerem jako rozrywkę, na pewno interesującą i na pewno pożyteczną, ale niepoważną.

Chociaż nigdy nie było pomiędzy nimi o tym mowy, Joe wiedział, że dłubanie w swoich przeklętych skorupkach Karolina uważa za prawdziwą pracę, a wszystko, co on robił i czym się zajmował, mogło w jej oczach wypełnić życie i wyobrazić co najwyżej kilkunastoletniego chłopca.

A najgorsze było to, że w głębi duszy przyznawał jej absolutną słuszość. Bo, wbrew pozorom, Joe Alex był człowiekiem cichym, zakochanym w dobrej poezji i dobrej muzyce, studiował dzieje kultur i mitów (z wyjątkiem Kreta, oczywiście), architekturę, historię, obyczaje i wszystko to, co stanowi widomy ślad człowieka na przestrzeni dziejów. I chociaż w pewnym sensie było mu bardzo dobrze, bo wysokie dochody pozwalały podróżować daleko i pozostawiały wiele wolnego czasu na prywatne studia, to jednak zdawał sobie sprawę z groteskowości sytuacji. Ogromnej ilości zebranych wniosków i obserwacji nigdy nie zamknął w poważniejszej pracy, chociaż wiedział, że na przykład w jednej z dziedzin, którą poznał najlepiej, a którą określał „Historia Diabła na ziemi”, wie więcej niż większość specjalistów interesujących się wierzeniami i społecznym tłem nasilenia wiary w Złego Ducha podczas różnych okresów historycznych i w różnych częściach świata. Gdyby tylko na tym polu umiał uporządkować ogromną ilość swoich notatek, zdjęć i zbiorów, mogłoby powstać monumentalne dzieło, niemające dotąd precedensu.

Ale nie umiał. Powoli zaczął się przyzwyczajać do myśli, że zawsze będzie tylko świadkiem i nigdy nie pozostawi po sobie trwałego śladu. Po prostu nigdy nie potrafił wykonać niczego, co przychodziło mu z trudem i wymagało dużego wysiłku. A może, na swoje nieszczęście, zbyt wiele zarabiał tym, co wykonywał z największą łatwością?

A przed nikim, nawet przed superintendentem Parkerem, nie przyznał się nigdy, że niemal równie łatwo

przychodzi mu rozwiązywanie zagadek kryminalnych, które przynosi życie.

Tak więc Joe Alex był sławny, popularny i bogaty, ale nie był szczęśliwy. Stojąc w tej chwili przed lustrem i zawiązując krawat, myślał o Karolinie, o Grecji i o tym, że najlepiej byłoby w tej chwili rzucić wszystko, wsiąść na pokład samolotu i polecieć do niej, chociażby na kilka dni. Tych kilka dni z Karoliną pod lipcowym słońcem Morza Śródziemnego to było wszystko, czego chciał. Tęsknił za nią.

Karolina wyjechała przed miesiącem na polecenie swojego instytutu, gdy doniesiono o odkryciu pewnej liczby tabliczek w ruinach jednej ze starych twierdz kreteńskich na Peloponezie. W Atenach wynajęłby samochód, potem droga nad brzegiem morza, Megara, Korynt i długi, biały szlak szeroką doliną na południe, ku góróm...

Niestety, wydawca czekał. Alex obiecał mu, że odda książkę w ciągu najbliższych dwu tygodni. A miał dopiero kilkadziesiąt stron. Nie lubił łamać przyrzeczeń. Trzeba było zostać. Ale gdyby? Gdyby zdążył w ciągu tygodnia skończyć, wtedy mógłby... Miał przecież napisany w najdrobniejszych szczegółach plan każdego kolejnego rozdziału.

Przez chwilę stał nieruchomo, pogwizdując cicho. Potem szybko dokończył wiązanie krawata i z nagłą determinacją podszedł do telefonu. Przymknąwszy oczy i starając się nie myśleć o żadnej z tysiąca przeszkód, nadał telegram do Karoliny:

„JEŻELI CHCESZ MNIE WIDZIEĆ PRZYJADĘ
DO CIEBIE NA KILKA DNI STOP POTEM MUSZĘ

NATYCHMIAST WRACAĆ DO ANGLII STOP ODDEPE-
SZUJ OD RAZU CO O TYM MYŚLISZ STOP BARDZO
TĘSKNIĘ STOP ZA WIDOKIEM GRECJI STOP JOE”.

Wolno położył słuchawkę na widełki. Kości zostały rzucone. Telegram rozpoczął swój błyskawiczny lot ponad światem. Znowu ujął słuchawkę i połączył się z biurem podróży. Zamówił miejsce w samolocie odlatującym osiemnastego. Teraz trzeba będzie usiąść do pracy. Siędem bezsennych nocy. A potem, w ostatniej chwili, jadąc na lotnisko, podrzuci maszynopis wydawcy. Musi zdążyć.

Higgins zapukał cicho i stanął w progu.

– Sir Alexander Gilburne i pan Thomas Kempt, proszę pana – powiedział, podchodząc i wysuwając w stronę Alexa malutką tackę, na której leżały dwie wizytówki, jedna mała i prawie kwadratowa, a druga wielka, prostokątna.

Joe wziął je machinalnie, myśląc: „duża – Kempt, mała – Gilburne”. Zgadł. Położył wizytówki na biurku.

– Dziękuję, Higgins. Proszę wprowadzić tych panów do biblioteki.

WYDAWNICTWO BUKOWYŁAS



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



wydawnictwobukowylas



bukowylas.pl

KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

JOE ALEX

KLĄTWA CZY DIABELSKA INTRYGA?

Patrycja Lynch, z bogatego angielskiego rodu, umiera wkrótce po powrocie z Afryki Południowej. Policja uznaje, że było to samobójstwo. Jedynie dawny narzeczony Patrycji sugeruje, że doszło do morderstwa. Czy śmierć kobiety jest spełnieniem kilkusetletniej klątwy, ciążyącej na dziedzicach Norford Manor? A może jest to zbrodnia doskonała? W rozwikłaniu zagadki pomóc ma znany detektyw amator Joe Alex.

JOE ALEX. Pod tym pseudonimem tworzył Maciej Słomczyński, który przetłumaczył wszystkie dzieła Williama Shakespeare'a. Autor przekładów literatury światowej, m.in. *Ulissesa* Jamesa Joyce'a. Twórca powieści sensacyjnych i kryminalnych.



bukowylas.pl

Cena: 44,90 zł